



XVIII-wiecznym damom z wyższych sfer nie przeszkadzał brak bielizny. Miały one bardzo specyficzne podejście do higieny. Kąpiele zażywały nader rzadko, uważając ją za szkodliwą dla zdrowia. Codzienna toaleta ograniczała się zazwyczaj do zamaczania koniuszków palców w różanej wodzie. Pożądaną biel zębów starały się uzyskać, stosując różne pasty wybielające, ale efekty tych zabiegów były mizerne. Nieleczone i nieczyszczone systematycznie, psuły się bardzo szybko i już trzydziestolatki miały szczerbaty uśmiech. Cóż więc im pozostało, by sprostać wymogom rokokowego piękna? Robiły, co mogły, aby mieć alabastrową skórę, żywe rumieńce i powabny biust. Grubymi warstwami bielidla tuszowały mankamenty cery, ożywiały anemiczne buzie obficie nakładanym na policzki różem. Za pomocą dekoltów nadmiernie eksponowały piersi, które wypływały z ciasnych gorsetów, odciągając uwagę od niedostatków urody. Im więcej tych niedoskonałości, tym więcej tuszujących je zabiegów. Być może dlatego właśnie uczesanie stało się najważniejszym elementem damskiego wyglądu. Nie wystarczyły już bujne sploty peruki pokrytej warstwami pudru. Aristokratyczne damy zaczęły nosić na głowach niebotycznych rozmiarów budowle konstruowane na

Zamiast majtek pufy na głowie